

The image features a stylized, monochromatic yellow and black scene. The top half shows the Golden Gate Bridge in silhouette against a background of cracked, parched earth. The bottom half is a solid black area containing the author's name and the title. A white audio waveform is visible at the very bottom of the image.

KEN FOLLETT

MŁOT EDENU

Kiedy kładzie się spać, ten widok zawsze staje mu przed oczami.

Wzgórza porasta sosnowy las, gęsty jak niedźwiedzie futro. W czystym górskim powietrzu niebo jest tak błękitne, że aż razi. Kilka mil od drogi leży ukryta dolina o stromych zboczach, z rzeką toczącą zimne wody po jej dnie. Tam, z daleka od niepowołanych oczu, na wykarczowanym, nasłonecznionym południowym stoku, w równych rzędach rośnie winorośl.

Kiedy przypomina sobie, jak tam pięknie, serce pęka mu z żalu.

Mężczyźni, kobiety i dzieci powoli idą winnicą, pieląc krzewy winorośli. To jego przyjaciele, kochanki, krewni. Jedna z kobiet śmieje się. Jest wysoka, ma długie czarne włosy i bardzo mu się podoba. Odchyła głowę w tył i szeroko otwiera usta, a jej perlisty śmiech rozchodzi się po dolinie jak ptasi trel. Niektórzy mężczyźni cicho powtarzają przy pracy mantry, modląc się do bogów doliny

i winorośli o dobry plon. W ziemi tkwią pniaki potężnych drzew, przypominając o znoej pracy, dzięki której przed ćwierćwieczem powstała ta winnica. Gleba jest kamienista, ale to dobrze, gdyż kamienie chłoną ciepło słonecznych promieni i ogrzewają korzenie winorośli, chroniąc je przed zabójczym mrozem.

Za plantacją widać grupkę chat, skromnych, ale solidnych i odpornych na kaprysy pogody. Nad kuchnią unosi się dym. Na placyku kobieta uczy chłopca, jak się robi beczki.

To święte miejsce.

Chronione przez tajemnicę i modlitwy, pozostało czyste, a jego mieszkańcy wolni, podczas gdy świat na zewnątrz pogrążył się w korupcji i hipokryzji, chciwości i występku.

Jednak ten obraz zmienia się nagle.

Coś się stało z wartkim zimnym nurtem, który płynął zyzakiem przez dolinę. Jego cichy szmer ucichł, szybki bieg zwolnił. Zamiast spienionych bystrzyn stoi ciemna toń, spokojna i cicha. Woda wydaje się nieruchoma, lecz patrzący na dolinę mężczyzna po chwili zauważa, że jej poziom podniósł się. Niebawem jest zmuszony wejść wyżej, na zbocze.

Nie może zrozumieć, dlaczego inni nie widzą wzbierającej wody. Kiedy czarne fale zaczynają omywać pierwszy rząd winorośli, nadal pracują po kostki w wodzie. Budynki zostają podmyte, a potem zalane. Gaśnie ogień w kuchni, puste beczki pływają po szybko powstającym jeziorze. Dlaczego nikt nie ucieka? – zastanawia się i strach ścisza mu gardło, zapierając dech.

Niebo przesłaniają ołowiane chmury i zimny wiatr szarpie ubrania pracujących, lecz oni wciąż krzątają się przy winorośli, pochylając się i prostując, uśmiechając do

siebie i prowadząc spokojne rozmowy. Tylko on dostrzega niebezpieczeństwo i pojmuję, że musi chwycić dwoje albo nawet troje dzieci, żeby uratować je przed utonięciem. Próbuje podbiec do córki, lecz odkrywa, że nogi uwięzły mu w mule i nie może się ruszyć. Ogarnia go strach.

Woda sięga już pracującym w winnicy do kolan, potem do pasa i wreszcie po szyję. Mężczyzna usiłuje krzyknąć do ludzi, których kocha, chce ostrzec ich, że muszą zaraz coś zrobić, natychmiast, inaczej umrą – lecz chociaż otwiera usta i nateża krtani, z jego gardła nie wydobywa się żaden dźwięk.

Po chwili woda wpływa mu do otwartych ust i pozbawia go tchu.

Wtedy się budzi.

1

Mężczyzna zwany Kapłanem nasunął kowbojski kapelusz na czoło i spojrzał na pylistą, pustynną równinę południowego Teksasu.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie wokół rozpościerał się gąszcz ciernistych ciemnozielonych krzewów i zarośli. Opodal biegł wyboisty i rozjeżdżony szlak wycięty w poszyciu, szeroki na ponad trzy metry. Meksykańscy operatorzy spychaczy, którzy wytyczali te drogi, nazywali je *senderos*. Po jednej stronie, w pięćdziesięciometrowych odstępach, trzepotały na wietrze jasnoróżowe plastikowe wstążki na krótkich metalowych prętach. Ciężarówka powoli jechała *sendero*.

Kapłan zamierzał ją ukraść.

Kiedy miał jedenaście lat, ukradł swój pierwszy samochód – nowiutkiego, śnieżnobiałego lincolna continentala rocznik 1961, zostawionego z kluczami w stacyjce przed Roxy Theatre na South Broadway w Los Angeles. Kapłanowi, na którego wówczas wołano

Ricky, głowa ledwie wystawała zza kierownicy. Był tak wystraszony, że o mało się nie posikał, ale przejechał kilka przecznic i dumnie wręczył kluczyki Jimmy'emu „Ryjowi” Rileyowi, który dał mu pięć dolców, a potem zabrał swoją dziewczynę na przejażdżkę i rozbił wóz na Pacific Coast Highway. W ten sposób Ricky stał się członkiem bandy Ryja.

Ale ta ciężarówka nie była zwykłym samochodem.

Na oczach patrzącego na to Kapłana potężna maszyna zamontowana za kabiną kierowcy powoli opuściła na ziemię grubą stalową płytę – kwadrat o boku dwóch metrów. Chwila przerwy, a potem głuchy łoskot. Wokół ciężarówki uniosła się chmura kurzu, gdy kafar zaczął rytmicznie uderzać w ziemię. Kapłan poczuł, jak grunt drży pod jego nogami.

Był to wibrator sejsmiczny, maszyna do wytwarzania drgań skorupy ziemskiej. Poza kradzieżą samochodów Kapłan niezbyt przykładał się do nauki, ale uważał się za bardzo sprytnego i rozumiał zasadę działania wibratora, podobną do zasady działania radaru i sonaru. Drgania odbijały się od warstw skorupy ziemskiej – stałych czy płynnych – i powracały na powierzchnię, gdzie wychwytywały je przyrządy nasłuchowe zwane geofonami albo dzbanami.

Kapłan pracował w zespole dzbaniarzy. Na obszarze niecałych trzech kilometrów kwadratowych rozmieścili w regularnych odstępach ponad tysiąc geofonów. Przy każdym uderzeniu wibratora odbite drgania były wyłapywane przez „dzbany” i rejestrowane przez obserwatorium w przyczepie kempingowej, którą nazywano psią budą. Wszystkie te dane miały być później wprowadzone do superkomputera w Houston i wykorzystane do sporządzenia

trójwymiarowej mapy złóż, która zostanie potem sprzedana firmie wiertniczej.

Wstrząsy przybierały na sile. Towarzyszył im narastający łoskot, przypominający huk silników statku pasażerskiego nabierającego prędkości. Nagle hałas umilkł. Kapłan pobiegł *sendero* do ciężarówki, mrużąc oczy w kłębach pyłu. Otworzył drzwi i wspiał się do kabiny. Za kierownicą siedział krępy czarnowłosa mężczyzna.

– Cześć, Mario – powiedział Kapłan, sadowiąc się na siedzeniu obok.

– Cześć, Ricky.

Zawodowe prawo jazdy (klasy B) przedstawiało Kapłana jako Richarda Grangera. Dokument był podrobiony, ale nazwisko prawdziwe.

Kapłan miał pod pachą karton marlboro, które palił Mario. Rzucił je na deskę rozdzielczą.

– Masz, przyniosłem ci coś.

– Hej, człowieku, nie musisz mi kupować papierosów!

– Zawsze cię opalam.

Sięgnął po otwartą paczkę leżącą na desce, wyjął jednego papierosa i włożył go do ust. Mario uśmiechnął się.

– Dlaczego nigdy nie masz swoich fajek?

– Do licha, człowieku, nie stać mnie na palenie!

– Jesteś stuknięty. – Mario się zaśmiał.

Kapłan zapalił. Zawsze łatwo dogadywał się z ludźmi i dawał się lubić. Na ulicy, która go wychowała, bito nieulubianych, a on był mizernej postury. Dlatego nauczył się intuicyjnie wyczuwać, czego od niego oczekują – uległości, sympatii, poczucia humoru, czegokolwiek – i szybko spełniać te oczekiwania. Na polach naftowych człowiekowi bardzo pomagał też humor: czasem drwiący i inteligentny,

ale najczęściej obsceniczny.

Chociaż Kapłan pracował tu dopiero od dwóch tygodni, zdążył już zyskać zaufanie kolegów. Jednak jeszcze nie wiedział, jak ukraść ten wibrator. A musiał to zrobić w ciągu kilku następnych godzin, gdyż jutro pojazd miał odjechać na nowy teren badań, do odległego o tysiąc sto kilometrów Clovis w Nowym Meksyku.

Postanowił zabrać się z Mariem. Podróż zajmie im dwa lub trzy dni, bo ważąca dwadzieścia ton ciężarówka nie mogła jechać z szybkością większą niż sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Przy pierwszej okazji upije Maria albo pozbędzie się go w jakiś inny sposób, a potem ucieknie ciężarówką. Miał nadzieję, że wymyśli jakiś lepszy plan, ale na razie nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Moja bryka dogorywa – oświadczył. – Może zabrałbyś mnie jutro do San Antonio?

Mario zdziwił się.

– Nie jedziesz z nami do Clovis?

– Nie – odparł Kapłan i wskazał ręką pustynny krajobraz. – Teksas jest tak piękny, człowieku, że nie chcę go opuszczać.

Mario wzruszył ramionami. W tej robocie często spotykało się takie niespokojne duchy.

– Jasne, podwiozę cię.

Wprawdzie zabieranie pasażerów było niezgodne z przepisami, ale kierowcy wciąż to robili.

– Spotkamy się przy śmietniku – dodał.

Kapłan kiwnął głową. Śmietnisko było odludną dolinką, pełną rdzewiejących furgonetek, rozbitych telewizorów i zawoszonych materaców. Znajdowało się na przedmieściach Liberty – najbliższego miasteczka. Oprócz paru dzieciaków

strzelających z dwudziestkidwójki do węży, nie będzie tam nikogo, kto mógłby ich zobaczyć.

- O której?
- Powiedzmy o szóstej.
- Przyniosę kawę.

Kapłan bardzo potrzebował tej ciężarówki. Od niej zależało jego życie. Swędziały go ręce, żeby złapać Maria, wypchnąć go z szoferki i odjechać, ale nie mógł tego zrobić. Po pierwsze, tamten był prawie o dwadzieścia pięć lat młodszy od niego i zapewne nie dałby się wypchnąć bez oporu. Po drugie, kradzież powinna pozostać niezauważona przez kilka dni. Musiał przeprowadzić ciężarówkę do Kalifornii i ukryć, zanim policjanci w całym kraju zaczną rozglądać się za skradzionym pojazdem. Pisk radiostacji oznajmił, że kontroler w przyczepie sprawdził dane po ostatnich wstrząsach i nie ma żadnych problemów. Mario podniósł płytę, wrzucił bieg i przejechał pięćdziesiąt metrów, ustawiając się dokładnie przy różowej chorągiewce. Potem ponownie opuścił płytę i wysłał sygnał gotowości. Kapłan obserwował go uważnie, jak to robił już kilkakrotnie, starając się zapamiętać kolejność, w jakiej Mario naciskał dźwignie i przełączniki. Jeśli o czymś zapomni, później nie będzie miał kogo pytać.

Czekał, aż z psiej budy wyślą sygnał, który zapoczątkuje kolejną serię wstrząsów. Kierowca ciężarówki mógł sam włączyć urządzenie, ale kontrolerzy zazwyczaj woleli osobiście wydawać polecenia i uruchamiać maszynę pilotem zdalnego sterowania. Kapłan skończył papierosa i cisnął niedopałek przez okno. Mario ruchem głowy wskazał samochód Kapłana, zaparkowany czterysta metrów dalej, na dwupasmowej szosie.

– To twoja kobieta?

Kapłan spojrział w tamtą stronę. Star wysiadła z ciemnoszarej hondy civic i oparta o maskę wachlowała się słomkowym kapeluszem.

– Tak – odparł.

– Pokażę ci zdjęcie – Mario wyjął z kieszeni dzinsów stary skórzany portfel. Znalazł fotografię i podał Kapłanowi. – To jest Izabella – oznajmił dumnie.

Kapłan zobaczył śliczną Meksykankę po dwudziestce, w żółtej sukience i przepasce na głowie. Trzymała na rękach dziecko, a obok stał mały czarnowłosy chłopiec o nieśmiałym spojrzeniu.

– To twoje dzieci?

Mario skinął głową.

– Ross i Betty.

Kapłan z trudem powstrzymał uśmiech, słysząc typowo angielskie imiona.

– Ładne dzieciaki.

Pomyślał o swoich dzieciach i o mało nie powiedział o nich, ale w samą porę ugryzł się w język.

– Gdzie mieszkają?

– W El Paso.

W głowie Kapłana już kiełkował pewien pomysł.

– Często ich widzisz?

Mario pokręcił głową.

– Nic, tylko praca, człowieku. Oszczędzam, żeby kupić im dom. Ładny dom z wielką kuchnią i basenem w ogrodzie. Zasługują na to.

Pomysł urósł i zakwitł. Kapłan ukrył podniecenie i obojętnym tonem powiedział:

– Piękny dom dla pięknej rodziny, co?

– Właśnie...

Radiostacja ponownie pisnęła i ciężarówka zaczęła drgać. Huk był jak przetaczający się grzmot, tylko bardziej regularny. Zaczynał się basową nutą i szybko przechodził w wycie. Dokładnie po czternastu sekundach ucichł. Kapłan pstryknął palcami.

– Wiesz, mam taki pomysł... Nie, może nie.

– Co? – zainteresował się Mario.

– Nie wiem, czy to możliwe.

– Co takiego, człowieku?

– Pomyślałem sobie, no wiesz... twoja żona jest taka piękna, a dzieci takie ładne... Szkoda, że tak rzadko je widzisz.

– To jest ten twój pomysł?

– Nie. Pomyślałem sobie, że mógłbym odprowadzić ten wóz do Nowego Meksyku, a ty w tym czasie odwiedziłbyś ich, to wszystko. – Kapłan napominał się w duchu, żeby nie okazywać nadmiernego podniecenia. – Ale pewnie nic by z tego nie wyszło – dodał tonem mówiącym: „A kogo to obchodzi?”.

– Nie, człowieku, to niemożliwe.

– Pewnie nie. Chociaż... gdybyśmy wyruszyli jutro wcześniej rano i razem pojechali do San Antonio, mógłbym wysadzić cię przy lotnisku i w południe byłbyś już pewnie w El Paso. Pobawiłbyś się z dziećmi, zjadł kolację z żoną, przespał noc w domu, a rano złapał następny samolot... Mógłbym cię odebrać z lotniska w Lubbock... Jak daleko jest z Lubbock do Clovis?

– Sto pięćdziesiąt, może sto sześćdziesiąt kilometrów.

– Moglibyśmy być w Clovis w nocy, najpóźniej rano i nikt nie wiedziałby, że nie prowadziłeś przez cały czas.

- Przecież chcesz jechać tylko do San Antonio.
Kurwa. Nie przemyślał tej bajeczki; improwizował.
- Wiesz, nigdy nie byłem w Lubbock – rzucił niedbale. –
Tam urodził się Buddy Holly.
- Kim, do diabła, jest Buddy Holly?
Kapłan zanucił:
– *I love you, Peggy Sue!* Buddy Holly umarł, kiedy ciebie
jeszcze nie było na świecie, Mario. Lubiłem go bardziej od
Elvisa. Tylko nie pytaj mnie, kim był Elvis.
- Pojechałbyś tak daleko dla mnie?
Niespokojnie zastanawiał się, czy Mario jest podejrzliwy,
czy tylko wdzięczny.
- Jasne, że tak – powiedział. – Jeśli tylko pozwolisz mi
palić twoje fajki.
Mario ze zdumieniem pokręcił głową.
- Fajny z ciebie facet, Ricky, ale sam nie wiem...
Zatem niczego nie podejrzewał. Po prostu bał się,
więc lepiej go nie naciskać. Kapłan pokrył rozczarowanie
udawaną nonszalancją.
- No nic, pomyśl o tym – mruknął.
– Gdyby coś poszło źle... rozumiesz, nie chcę stracić
pracy.
- Masz rację – Kapłan opanował zniecierpliwienie. –
Wiesz co, pogadamy później. Będziesz wieczorem w barze?
- Jasne.
– Może wtedy powiesz mi, co postanowiłeś?
– W porządku, umowa stoi.
- Radiostacja zapiszczała, sygnalizując gotowość do
kolejnego pomiaru, więc Mario wcisnął dźwignię, unosząc
płytę z ziemi.
- Muszę wracać do dzbaniarzy – oświadczył Kapłan. –

Do zmroku mamy rozwinąć jeszcze parę kilometrów kabla.

Oddał kierowcy zdjęcie i otworzył drzwi.

– Mówię ci, człowieku, gdybym miał taką ładną żonę, nie wychodziłbym z domu – rzucił przez ramię, a potem wyskoczył z kabiny i zatrzasnął drzwi. Gdy ciężarówka ruszyła w kierunku następnej chorągiewki, Kapłan odszedł, wzbijając kurz kowbojskimi butami. Idąc po *sendero* do zaparkowanego samochodu, widział przechadzającą się tam i z powrotem Star, zniecierpliwioną i niespokojną.

Kiedyś, przez chwilę, była sławna. Podczas ery hipisów mieszkała koło San Francisco, w Haight-Ashbury. Kapłan nie znał jej wtedy – pod koniec lat sześćdziesiątych był zajęty zarabianiem swojego pierwszego miliona – ale słyszał różne historie. Nagrała płytę, na której recytowała wiersze z podkładem psychodelicznej muzyki zespołu Raining Fresh Daisies. Ten album stał się przebojem, a Star przez kilka dni cieszyła się wielką popularnością.

Jednak legendą stała się za sprawą swoich nienasyconych apetytów seksualnych. Uprawiała seks z każdym, kto wpadł jej w oko: z chętnymi małolatami i zaskoczonymi mężczyznami po sześćdziesiątce, z chłopcami uważającymi się za homoseksualistów i dziewczętami niemającymi pojęcia o miłości lesbijskiej, z wieloletnimi znajomymi i obcymi spotkanymi na ulicy.

Ale to było dawno. Teraz do pięćdziesiątych urodzin pozostało jej tylko kilka tygodni, a we włosach pojawiły się pasma siwizny. Wciąż miała niezłą figurę, chociaż już nie wyglądała tak, jak dawniej – ważyła osiemdziesiąt kilogramów. Mimo to pozostała niezwykle zmysłową kobietą. Kiedy wchodziła do baru, oglądali się za nią wszyscy mężczyźni.

Nawet tego dnia, chociaż zmęczona upałem i niespokojna, emanowała seksem, krążąc wokół taniego gruchota. Opięte bawełnianą sukienką ciało poruszało się zachęcająco i Kapłan miał wielką ochotę ją przelecieć.

– Co się stało? – zapytała, kiedy odjechali kawałek i stanęli.

Kapłan był niepoprawnym optymistą.

– Sprawa jest na dobrej drodze – oświadczył.

– To fatalnie – mruknęła sceptycznie. Wiedziała, że nie powinna wierzyć w jego przechwałki.

Opowiedział jej o propozycji, jaką złożył Mariowi.

– Najpiękniejsze jest to, że będą winili jego – zakończył.

– Jak to?

– Tylko pomyśl. Przyleci do Lubbock, zacznie mnie szukać, ale nie znajdzie ani mnie, ani ciężarówki. Domyśli się, że został wykiwany. Co wtedy zrobi? Pojedzie do Clovis i przyzna się, że zgubił gdzieś wóz? Nie sądzę. W najlepszym wypadku wylaliby go. W najgorszym – oskarżyli o kradzież i wsadzili do więzienia. Założę się, że nie pojedzie do Clovis. Wróci na lotnisko, polecą do El Paso, wsadzi żonę z dziećmiakami w samochód i zniknie. Wtedy policja będzie przekonana, że to on ukradł samochód. I nikt nie będzie podejrzewał Ricky’ego Grangera.

Zmarszczyła brwi.

– Świetny plan, tylko czy on połknie przynętę?

– Myślę, że tak.

Jej niepokój jeszcze się pogłębił. Uderzyła dłonią w brudną podsufitkę.

– Cholera, musimy mieć tę przeklętą ciężarówkę!

Był równie niespokojny jak ona, ale pokrywał to pozorną pewnością siebie.

– Będziemy ją mieli – obiecał. – Tak czy inaczej.

Włożyła na głowę słomkowy kapelusz, wysiadła i oparła się o samochód, zamykając oczy.

– Chciałabym w to wierzyć.

Stanął obok i pogładził policzek.

– Podwieźć panią?

– Tak, proszę. Zabierz mnie do motelu z klimatyzacją.

– To będzie kosztowało.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego z niewinną miną.

– Czy będę musiała robić brzydkie rzeczy, proszę pana?

Wsunął dłoń w dekollet jej sukienki.

– Tak.

– Och, do licha – wymamrotała i uniosła sukienkę.

Nie nosiła bielizny. Kapłan wyszczerzył zęby w uśmiechu i rozpiął dzinsy.

– Co sobie pomyśli Mario, jeśli nas zobaczy? – spytała.

– Będzie zazdrościł – mruknął, wchodząc w nią. Byli prawie tego samego wzrostu, więc wpasowali się w siebie z łatwością i wprawą. Pocałowała go w usta.

Po chwili usłyszał nadjeżdżający samochód. Oboje obejrzel się, nie przerywając tego, co robili. Drogą przejechała furgonetka z trzema robotnikami na przednim siedzeniu. Mężczyźni zauważyli, co się dzieje, i mijając ich pokrzykiwali i gwizdali przez otwarte okno.

Star pomachała im, wołając:

– Cześć, chłopaki!

Kapłan parsknął śmiechem. Chwilę później szczytowali.



Dokładnie trzy tygodnie wcześniej kryzys wszedł w ostatnią, decydującą fazę.

Siedzieli w kuchni, przy długim stole, jedząc obiad – pikantną potrawkę z soczewicy i warzyw oraz świeży chleb, prosto z pieca – kiedy wszedł Paul Beale, niosąc w ręce kopertę. Był to łysy, brodaty mężczyzna w skórzanej kurtce, przyjaciel Kapłana jeszcze z czasów, gdy obaj byli czternastoletnimi łobuzami, obskubującymi pijaków w zaułkach LA na początku lat sześćdziesiątych.

Paul butelkował wino produkowane przez wspólnotę Kapłana – ale robił też znacznie więcej. Był ich łącznikiem, dzięki któremu mieli kontakt ze światem, jednocześnie trzymając się od niego z daleka.

Kapłan domyślił się, że Paul dostał ten list rano, po czym natychmiast wsiadł w samochód i przyjechał do nich z Napa. Domyślał się też, co było w liście, ale czekał, aż Paul sam mu to powie.

– Z Urzędu Gospodarki Gruntami – zakomunikował ponuro Paul. – Adresowany do Stelli Higgins.

Podał go Star siedzącej u szczytu stołu naprzeciw Kapłana. Naprawdę nazywała się Stella Higgins i właśnie pod tym nazwiskiem wydzierżawiła ich ziemię od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na jesieni 1969 roku.

Wokół stołu zapadła cisza. Nawet dzieci ucichły, wyczuwając lęk i niepokój dorosłych. Star rozerwała kopertę i wyjęła z niej kartkę. Przeczytała ją szybko.

– Siódmego czerwca – powiedziała po chwili.

– Za pięć tygodni i dwa dni – mruknął Kapłan.

Kilka osób jęknęło z rozpaczy. Kobieta zwana Song zaczęła cicho płakać. Jeden z synów Kapłana, dziesięcioletni Ringo, zapytał:

– Dlaczego, Star, dlaczego?

Kapłan pochwycił spojrzenie Melanie, wysokiej,

szczuplej dwudziestoosmioletniej kobiety o białej skórze, długich włosach koloru papryki i ciele modelki. Obok niej siedział jej pięcioletni syn, Dusty.

– Co? – spytała zdziwiona Melanie. – O co chodzi?

Wszyscy wiedzieli, co im grozi, ale było to zbyt przygnębiające, żeby o tym rozmawiać, więc jeszcze nie powiedzieli Melanie, która dopiero niedawno do nich dołączyła.

– Musimy opuścić dolinę – wyjaśnił Kapłan. – Przykro mi, Melanie.

Star odczytała fragment listu:

– „Po siódmym czerwca wyżej wymieniona posiadłość znajdzie się na terenie zagrożonym, tak więc dotychczasowa umowa dzierżawy zostaje wypowiedziana zgodnie z punktem dziewiątym, podpunkt b, paragraf drugi”.

Melanie wstała. Jej biała skóra poczerwieniała, piękną twarz wykrzywił grymas wściekłości.

– Nie! – krzyknęła. – Nie! Nie mogą mi tego zrobić... dopiero co was znalazłam! Nie wierzę, to nieprawda.

Obróciła swój gniew przeciw Paulowi.

– Kłamca! – wrzasnęła. – Pierdolony kłamca!

Jej dziecko zaczęło płakać.

– Hej, odczep się! – burknął urażony Paul. – Ja tu jestem tylko cholernym listonoszem.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Kapłan pospiesznie podszedł do Melanie, objął ją ramionami i szepnął do ucha:

– Wystraszysz Dusty’ego. Usiądź. Masz rację, że się złościsz, wszyscy jesteśmy źli jak diabli.

– Powiedz mi, że to nieprawda.

Delikatnie posadził ją na krześle.

– To prawda, Melanie. Prawda.

Kiedy się uspokoiłi, polecił:

– No już, teraz umyjmy naczynia i wracajmy do pracy.

– Po co? – zapytał Dale, który robił wino. Nie był jednym z założycieli, przyjechał tu w latach osiemdziesiątych rozczarowany skomercjalizowanym światem, ale był najważniejszym członkiem grupy po Kapłanie i Star. – Nie zdążymy zebrać plonów – dodał. – Mamy stąd odejść w ciągu pięciu tygodni. Po co pracować?

Kapłan przeszył go hipnotycznym spojrzeniem, które wytrzymywali tylko ludzie o bardzo silnej woli. Zaczekał, aż w kuchni zapadnie cisza, po czym powiedział:

– Ponieważ zdarzają się cuda.



Miejscowe przepisy zabraniały sprzedaży napojów alkoholowych w teksańskim miasteczku Shiloh, ale tuż za przechodzącą przez nie granicą znajdował się bar Doodlebug, z tanim jasnym piwem, orkiestrą grającą country oraz kelnerkami w ciasnych džinsach i kowbojskich butach.

Kapłan poszedł tam sam. Nie chciał, żeby Star się pokazywała, ryzykując, że ktoś ją rozpozna. Żałował, że przyjechała z nim do Teksasu. Ktoś jednak musiał mu pomóc przewieźć wibrator sejsmiczny do domu. Będą jechali dzień i noc, zmieniając się za kierownicą i łykając proszki, żeby nie zasnąć. Muszą wrócić, zanim ktoś zauważy brak maszyny.

Żałował, że po południu był tak nieostrożny. Mario widział Star z odległości czterystu metrów, a trzech robotnicy w furgonecie widzieli ją tylko przelotnie, ale rzucała się w oczy, więc pewnie potrafiliby opisać, jak wyglądała: wysoka biała kobieta, dobrze zbudowana, z długimi

ciemnymi włosami...

Kapłan zmienił swój wygląd przed przyjazdem do Liberty. Wyhodował gęstą brodę i wąsy, a długie włosy wiązał w kucyk, który chował pod czapkę. Jeśli jednak wszystko pójdzie zgodnie z planem, nikt nie będzie pytał o rysopis jego czy Star.

Kiedy przyszedł do Doodlebug, Mario już tam był. Siedział przy stole z pięcioma czy sześcioma facetami od rozstawiania dzbanów oraz szefem ekipy – Lennym Petersenem, który kierował całym personelem prowadzącym badania.

Nie chcąc okazywać nadmiernego zainteresowania swoimi kolegami z pracy, Kapłan zamówił jedną butelkę Lone Star i przez chwilę stał przy barze, pijąc piwo z butelki i rozmawiając z barmanką, zanim usiadł przy stoliku Maria.

Lenny był łysawym mężczyzną z czerwonym nosem. Przyjął Kapłana do pracy dwa tygodnie wcześniej. Kapłan spędził wtedy w barze cały wieczór, niewiele pijąc, rozmawiając z członkami ekipy i głośno śmiejąc się z żartów Lenny'ego. Następnego ranka znalazł go w biurze i zapytał o pracę.

– Przyjmę cię na okres próbny – powiedział Lenny.

Kapłan tylko tego potrzebował.

Ciężko pracował, szybko się uczył i dawał się lubić, więc po kilku dniach został zaakceptowany przez pozostałych członków ekipy. Kiedy usiadł teraz przy ich stoliku, Lenny zapytał tym swoim rozwlekłym teksańskim drawłem:

– A więc, Ricky, nie jedziesz z nami do Clovis?

– Zgadza się – odparł Kapłan. – Za bardzo lubię tutejszą pogodę.

– No cóż, chcę tylko powiedzieć, całkiem szczerze, że

znajomość z tobą, chociaż tak krótka, była przyjemnością i zaszczytem.

Pozostali roześmiali się. Często tak rozmawiali. Teraz czekali na ripostę.

Kapłan przybrał poważny wyraz twarzy i powiedział:

– Lenny, jesteś dla mnie taki dobry i miły, że muszę zapytać cię jeszcze raz: wyjdiesz za mnie?

Wszyscy znów się zaśmiali. Mario klepnął Kapłana w plecy. Lenny zrobił zmieszana minę i powiedział:

– Wiesz, że nie mogę za ciebie wyjść, Ricky. Mówiłem ci już dlaczego... – przerwał dla zwiększenia efektu. Nadstawili uszu, czekając na pointę. – Jestem lesbijką.

Ryknęli śmiechem. Kapłan uśmiechnął się smętnie, akceptując odmowę, i zamówił piwo dla całej ekipy dzbaniarzy. Zaczęli rozmawiać o baseballu. Większość z nich wołała Houston Astros, lecz Lenny był z Arlington i kibicował Texas Rangers. Kapłan nie interesował się sportem, więc czekał niecierpliwie, od czasu do czasu wtrącając neutralne komentarze. Wszyscy byli we wspaniałych humorach. Skończyli pracę w terminie, dobrze zarobili i był piątkowy wieczór. Kapłan powoli sączył swoje piwo. Nigdy nie pił dużo – nie lubił tracić kontroli nad swoim ciałem. Patrzył, jak Mario osusza swój kufel. Kiedy Tammy, ich kelnerka, przyniosła mu następny, Mario tęsknie spojrzał na jej piersi pod kraciastą koszulą. *Tak trzymaj, Mario*, pomyślał Kapłan. *Jutro wieczorem mógłbyś być w łóżku z żoną.*

Po godzinie Mario poszedł do ubikacji. Kapłan ruszył za nim. *Do diabła z tym czekaniem, pora podjąć decyzję.* Stał obok Maria i powiedział:

– Tammy ma dziś na sobie czarną bieliznę.